

# Wspólna obecność

ZLP  
RZESZÓW

druk NAZWA RZESZÓW

nr 3, marzec 2008

Debiut • Proza • Reportaż

## Sylwia Puchalik



Urodzona 20.04.1967 r. w Krakowie. Matura w 1985 r. w Liceum im. Bartłomieja Nowodworskiego w Krakowie. W latach 1985 – 1991 studia psychologiczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od 1992 r. mieszka w Krośnie. W latach 1992 – 1996 pracowała w Wojewódzkim Urzędzie Pracy w Krośnie jako koordynator poradnictwa zawodowego. W 1996 r. podjęła służbę w policji jako psycholog w Komendzie Wojewódzkiej Policji w Krośnie, a po reformie administracyjnej kraju pracuje w KWP w Rzeszowie. W grudniu 2000 r. wyjechała na rok do Polskiej Jednostki Specjalnej Policji w Kosowie jako policjant – psycholog (jedyna kobieta wśród 114 funkcjonariuszy). Była pierwszą policjantką, która pełniła służbę w tego typu jednostce. Obecnie nadal pracuje w Sekcji Psychologów KWP w Rzeszowie w stopniu nadkomisarza.

## KOSOWSKIE IMPRESJE

### Impresja I

Zima. Drogowskaz –Tirana (chyba coś około 100 km stąd).  
Koniec świata...

Wokoło góry całkiem sympatyczne. Jezdnia mniej. Pełno dziur, wyrw. Trzeba uważać, żeby nie urwać fragmentów podwozia. I camp. Trochę baraków ogrodzonych kolczastym drutem. A dokładniej: workami z piaskiem, a na nich dopiero ten kolczasty drut. Trzy wieżyczki wartownicze, żwir, betonowe płyty, szlaban i dwa maszty z białą-czerwoną i niebieską flagą. Na horyzoncie góra przykryta czapą śniegu. Nieco bliżej niższe wzniesienie, z którego nocą błyskają światła niemieckiego KFOR-u.

Miasto. Kurz i pył unoszący się w powietrzu. I brud oblepiający rzeczywistość. Owoce wysypujące się na bruk. Kolorowy, hałaśliwy tłum. Mężczyźni w białych, filcowych denkach na głowach. Śniade, osłonięte zarostem ciemnoookie twarze. Tureckie kobiety w białych chustach na głowach i szerokich spodniach z krokiem w okolicy kostek. Albo inna staruszka ze swego rodzaju tiurniurą na pośladkach, idzie zgięta w pół. Pod nogami skudłacone, przetrącone losem i spotkaniem z człowiekiem psy, grzebią w stertach przesypywanych wiatrem śmieci. Ludzie w mundurach: KFOR-u, policji z całego świata – biali, czarni, śniadzi, w niebieskich beretach i z niebieską plaketką na rękawie. Dalej spłaszczony dach meczetów z wysmukłymi minaretami i rozlegającym się zawodzeniem muezinów, które ma nawoływać do modłów. Połacie mięsa zawieszony na hakach. Zwoje ciemnej kiełbasy wędzonej tumanami kurzu unoszący się spod kół przejeżdżających samochodów. Sredniowieczne mury gorące nad miastem i kamienny most z opancerzonymi samochodami. Po drugiej stronie rzeki kafejki, urokliwe zaułki.

Noc. Ludzie stojący rzędem pod ścianą z dłońmi opartymi o mur, nogi szeroko rozstawione. Obok inni w mundurach. Błyskają światła „coca-coli”. Jest godzina zakazana. Police! Open the door! Odgłos syjącego się szkła kruszonego taranem. Przerazone oczy kobiet, wyrwanymi ze snu dzieci. Płaczące się wyrostki. Płacz i krzyki. Gumowe rękawiczki na dłoniach lekarza. Nadbiegający z ciężką, metalową walizką pielęgniarz. Pies patrzący beznamiętnym wzrokiem – bo to kolejny raz. Barwne

dywany zabłocone grudkami wilgotnej ziemi, która przywarła do ciężkich butów. Drewniane kolby karabinów z napisem „1933 r.”. Puste magazynki „tetetek”. Pokój mężczyzn. Popalone dokumenty w stojącym na środku piecu. Fotografie na ścianach. Boazeria. Wejście na strych. Rozrzucone ciuchy, przewracana pościel. Dużo pościeli. Zaschnięty grysik na talerzu, gąsiorek z rakiją. Przed chwilą odstawiona szklanka i pranie schnące na sznurze. Błyszczące w ciemności oczy kota i wykrzywiona obórka. Znowu kawalkada samochodów i kajdanki na przegubach rąk. Wrogie spojrzenia i bosa stopy.

Góry. Bogate, z szaroburymi kępami drzew jak kuleczkami rzepów, opasane drutem z napisem „miny”. Ostre zakręty i znowu wyrwy w jezdni. Albańczyk stojący na czatach, pałacy od niechcenia papierosa, bistro omiatający wzrokiem przejeżdżające samochody. Krowy z załajnionymi bokami, zaprężone do drewnianych wozów, z jeszcze bardziej drewnianymi kołami. Kolorowo, ale wszystko oblepione szarością. Spopieliałe barwy, tak jakby życie zastygło, napiętnowało i krajobraz, i twarze ludzi. Przydrożne groby z wykutymi w granicie twarzami. Otułone jarmarczonymi, okropnymi, sztucznymi kwiatami, złożonymi tam gdzie padli. Kolejny zakręt i check-point. Tym razem progi zwalniające, wieżyczka wartownika osłonięta szarpaną przez wiatr pałatką i kłęby drutów kolczastych. Pusto, tylko ściany zburzonego domu świadczą, że był tu ktoś jeszcze oprócz żołnierzy. ID i biały samochód z literami UN jako przepustka. Okruchy zsuwających się skalnych odłamków, kolejny ślad po wyrwanym kawałku asfaltu. Najeżone roślinnością wzgórza i góry. W zagłębieniach śnieg, cienie jaskiń. Niżej strumień, kawałek świeżej, zielonej trawy. Jakaś owca, jakaś koza i obszarpani pasterze. Leżące szkielety krów. I znowu tabliczka - „miny”. Potem znak dawnej „świątyni” stary, dobry, olbrzymi, trochę straszący architekturą dom wczasowy z czasów Tito, z obdrapaną elewacją, lekko przesłonięty drzewami. Kolejni żołnierze. Jakiś zniszczony, rozwalony nie wiadomo jak i dlaczego dom. Gdzie indziej same fundamenty i zapomniana piwniczka. Podrapane kawałki betonu. Serpenty i poczucie, że jest tak bezpiecznie i swojsko. Bo jest opoka, bo jest dusząca, zmieniająca odcienie szarości mgłą, że nawet nie wiadomo, gdzie znikają szczyty gór i czy w ogóle są.

Pustka. Płasko aż po horyzont. Kałuże i zarośnięte rowy z dającym do myślenia zapachem. Co jakiś czas fragmenty sierści zmieszanej z zaschniętą krwią i zniekształconymi pyskami psów czy kotów. Rozpruty pociskiem dach jakiejś fabryki. Krążące stada: wron? gawronów? W każdym razie czarnych ptaków, szukających przekąski na największym wysypisku śmieci świata. Wiatr porywając kawałki nie wiadomo czego, odsłania kolejne warstwy dna. W tle nowe bloki i nagle tęcza. Bliska i wyraźna. Smog tak wysoko nie sięga.

„Tygrys”. Samotny, zapomniany czołg stojący na zboczu. Pnące się w górę wąskie, strome wertepy udające drogę, giną pomiędzy zapadającymi się w ziemię domami. Zielen drzew przetykana czerwienią dachówki. Osiołek na sznurku skubiący zapomniane źdźbła trawy na przymie gliny. Przyjaźnie uśmiechnięci ludzie zaglądający przez szybę samochodu. Dzieci ufnie podbiegające z wyciągniętą ręką. Biały kamień maleńkiej cerkwi. Ikona z ocalałymi ze zgłiszczy monastynu oczami, dłonią i spisanimi świętymi strofami.

Słońce. Ostre, odbijające się od tafli jeziora. Pagórki jakby trochę niższe. Bezludnie. Jeszcze jedna kolejka samochodów czekających na przepustkę przez check-point. Cerkiew – ale zamiast popa – stacja KFOR-u. I wszędzie wokół znajomy widok ludzi w mundurach. Opierają się o pancerze, dłonią obojętnie odsuwają lufę karabinu, by przypalić papierosa. Amerykańskie, francuskie, włoskie, polskie i inne znaczki na rękawach. Wiza Babel. Ale uzbrojona po zęby, w nakrapianym mundurze, hełmie i osłonięta kamizelką kuloodporną. Jeszcze stoi. Na przekór gór, tęczom, słońcu i tym, którzy tu zostali.

### Impresja II

Macedonia. Opuszki palców wysunięte przez zakratowane okno samochodu głaszczą rozżarzone powietrze. Asfalt wije się pomiędzy ścianami gór jak pijany zaskroniec. Z zieleni drzew wyrastają gdzieś tam szarotwarde skały i pasiaste kominy. Dymią intensywnie, uzasadniając swoje istnienie. Długa kolumna ciężarówek wolno posuwa się ku granicy. Ostre słońce znika w nagłym tunelu. W dole zapomniane tory kolejowe. Na zboczach minidomki z miniaturowymi warzywniakami. Jasny kamień wiekowych mostów prowadzących donikąd, przeplata się z białymi betonowymi cembrowinami ustawionymi na przekór, między zwalami ziemi. Za nimi kryją się żołnierze z pomarańczowo-czerwoną flagą na hełmie. Zakaz fotografowania. Obiekt wojskowy.

Skopje. Ulice zatłoczone samochodami i istniejącymi i z zapomnianych krajów świata. Jadowicie fioletowe i te z emblematem CD. Uśmiechnięci ludzie, siedząc w wiklinowych fotelach piją kawę i piwo. Nobliwy mężczyzna, z zarostem przyprószonym siwizną kupuje „burek”. Dziewczyna z wionczelą przewieszoną przez ramię szybkim krokiem przemierza ulicę. Kobieta z głową szczelnie otuloną białą chustką przytrzymuje rozchylany wiatrem szary, długi do kostek płaszcz. Gorliwi, śniadzi chłopcy polerują szyby samochodów, z niepewnością czekając na zapłatę. Smukłe wieże meczetów sąsiadują z kopułami cerkwi na tle „wzgórza miłości”. Spaliny owiewają długonogie dziewczyny w minipódniczkach i różowe pięty niemowląt trzymany na ręku. Ponure betonowe wieżowce mieszają się ze spadzistymi dachami nowoczesnych bloków z czerwonej cegły. Obok radośnie żółci się budynek Holiday Inn. Most przerzucony nad mętną, burą wodą prowadzi do krętych, kamiennych uliczek, pełnych sklepów i gwaru. Czerwone autobusy z dawnych lat, ciężko sapiąc przemierzają kolejne skrzyżowania. Na miastem popielate mury stoją nieporuszenie od lat.

Kosowo. Sznur samochodów miesza się z furmankami wypełnionymi ludźmi, jadącymi „na słowo honoru” pseudotraktorami i zapachem burzy w powietrzu. Granitowy pomnik „ku chwale” z dumnie powiewającą czerwoną flagą z czarnym ptakiem, sąsiaduje z budką pełną hamburgerów. Za każdym zakrętem „autolarże” sklecone naprędcę. Porzucone wraki samochodów. Zarośnięty niepamięcią przydrożny cmentarz.

Stalowa szyna udaje zwalniający próg. Boczna droga. Słonecznie żółta łąka. Pełznący ufnie środkiem drogi żółw. Przemykające pastelowo-zielone jaszczurki odrzucające z przerażenia ogon, krwawią. Stadko pasących się niezwykłych krów. Rdzawe listki poziomek na zboczu. Spiętrzone wody weekendowego wypoczynku. Ruda ziemia w skalnym załomie. Zielone - prawie jak nad Soliną wzgórze.

Mitrovica. Pilnie strzeżony most niezgody spowity kolczastym drutem. Uroda kobiet wskazująca jego stronę. Niemieckie marki i serbskie dinary. Biała bułka i ciemny chleb. Bregovic i hity Eurowizji. Gęstniejący, wrogii tłum.

Nowoczesne butiki i obskurne budki z pestkami dyni. Zielo-

ne kamienice z białą lamówką, mieszkania w wysokich blokach ogrzewanych „kozą” i ruiny cygańskiej dzielnicy. Konwój wierzniących do cerkwi stojącej po niewłaściwej stronie. Wschód słońca w „Małej Bośni” i przerzucane worki mąki. Biała smuga na czarnym mundurze i weszający pies. Kolejny dom i cheralawy mężczyzna trzymający skute kajdankami ręce, pod narzuconym na ramiona płaszczem. Szerokie schody prowadzą do górniczego wagonika monstrualnych rozmiarów. Wyżej ruiny twierdzy pamiętającej czasy współistnienia – bez wszechobecnych uniformów, karabinów, opancerzonych samochodów, agresywnej nienawiści i obcych – na tej ziemi...

### Impresja III

Rytm dnia wyznaczony godzinami posiłków: 7.00, 12.30, 18.00. 115 ludzi. Mali i duzi. Biali i czarni. Faceci i baba. Starsi i młodszy. Chudzi i grubi. Z przerostem mięśni i ze sflaczalnymi brzuchami. Łysi i bujnymi czuprynymi. Wytatuowani i zakolczykowani. Flegmatycy, sangwinicy, melancholicy i cholerycy. W czarnych uniformach z niebieską plaketką na rękawie i różnie niebieskim beretem. Na pagonach belki, gwiazdki i szaszłyki. Czarne kamizelki kuloodporne, na nie siatkowe ze schowkami na wszystkie możliwe akcesoria. Przewieszona długa broń i czarny lub z niebieskim pokrowcem hełm. Albo w białych kaskach, z tarczami, pałami i ochraniaczami na wszystkich możliwych kończynach. Potykając się biegną do białych samochodów z czarnymi literami UN. Kolejny wyjazd.

Przemieszczają się niemrawo pomiędzy pięcioma jednakowymi barakami, na przestrzeni ograniczonej kolczastym drutem i trzema wieżyczkami wartowniczymi. Turlają się po śniegu. Podnoszą ciężary. Wcinają odżywki. Palą papierosy, wrzucając pety do niebieskich puszek po oleju. Stoją w kolejce po kolejną porcję zapychacza żołądków. Zbierają się w grupkach, żeby ponarzekać. Kolejny problem? – przecież trzeba mieć, o czym pogadać. Żywe gesty i śmiech. Czasem zacięte lub znudzone miny. Wszechobecne fotografie najbliższych. Zdobyczne plakietki z mundurów innych formacji. Plakaty. Wypatrzone w „PX-e” wieże. Przyczepione do blaszanych ścian baraków satelity. Okrzykające się oczy przy kolejnym filmie oglądanym piątą raz. Zamrużone „suchych porcji” na biurku. Czas podzielony między: sen, pisanie listów, łapanie sieci komórkowych i wysyłanie sms-ów, spotkania, oglądanie telewizji, surfowanie po Internecie, siłownię, książkę, muzykę, wygłupy, opalanie i wyjazdy do miasta. I marzenia... o nowych samochodach, podróżach, o rodzinie, o .... I jeszcze większa tęsknota. Zarwane noce potrzebnymi akcjami i niepotrzebnymi alarmami. Kolejna warta, kolejna akcja. Czas! Czas! Czas! Zbyt wolno... Odliczanie dni do kolejnego urlopu. Do przyścia kolejnego listu. Do kolejnego zadania. Do posiłku. Do przeprowadzki. Do kolejnej spalanej stacji policyjnej. Do kolejnego meczu. Kolejnego przeszukiwania.

Zapada noc i pozorna cisza. Jasne okno oficera dyżurnego. Chrzęst żwiru pod stopami wartownika. Cmy krążące pod światłem latarni. Odległe wycie psów. Minął kolejny dzień. Jaki będzie następny? 7.00, 12.30, 18.00.

### Impresja IV

Niedziela. Krople deszczu złością wzory w zakurzonej szybie samochodu. Opadają na pobocze, gdzie złote dziurawce pochylają się nad radośnie czerwonymi makami, a osty zerkają modrymi kwiatami. Rozzochrane zagony kukurydzy beztrudnie falują na wietrze. Czerwone paliki wytyczają bezpieczną ścieżkę życia wśród min. Ukryte zakole rzeki zdradza nagie pośladowki żaywających kąpiel. Brogi i kopy siana wśród pól. Łany nagle dojrzałego zboża. Sterty nawozu o zapachu niezależnym od wyznania i kraju. Sroka huśtająca się na wiotkiej gałęzi. Chłopcy beztrudnie kopią piłkę między workami piasku na check-poincie. Gdyby nie oni rosłaby złuda: góry i wioski, kopki siana i błyskające ostrze kosa, potoki i pasące się krowy – nasze, swojskie, polskie!!!

Przełącz. Piękno gór wzbudzające pokorę. Serpentyne drogi wijące się wokół pagórków leżących jak podkulone nogi Albańczyka w stożkowatej czapce na głowie. Monastyr chroniony pięścią i kulą, kryje widoczne z oddali czarne habity. Biała, smukła wieża meczetu odbija się od ceglanych murów. Pomarańczowe kombinezony i stopy min wyszarpięte ziemi. Szkielety nie wiadomo czy wznoszonych, czy burzonych domów. Spalone dachy. Pojedynczy żołnierz stojący wzdłuż drogi, czekający na bezpieczny konwój. I ci siedzący w wieżyczkach czołgów, schowani za lufą karabinu maszynowego.

Wesele. Kawalkady samochodów – od yugo po mercedesa – kipiące ludzką radością. Świątecznie przystrojone dziewczyny, wysuwając się przez otwarte dachy i opuszczone szyby, klaskają do rytmu w dłonie. Między smukłymi palcami przytrzymują lekko strzępy tkanin. Krwistoczerwona flaga z dwugłowym czarnym orłem wskazuje nowy początek. Wycieraczki oplecione kolorowymi, frotowymi ręcznikami furkoczącymi na wietrze. Zgiełk i wrzawa. Muzyka zmieszana z okrzykami, śmiechem, śpiewem i rykiem klaksonów.

Akcja. Pasiaste, jak rozdęte, zielone stonki kule arbuźów, uwięzione w kojcach. Łany słoneczników złocistsze niż u van Gogha, biegnące po horyzont. Smętne muczenie krowy dobiegające z pseudoobórki, domaga się porannego udoju. Stara, skrzywiona starością kobieta w obszernych spodniach, siada w szerokim rozkroku, popijając smolistą kawę. Chuda dziewczynka z brązowymi, sterczącymi niesforne włosami, przygląda się ciekawie tabunowi uzbrojonych ludzi w czarnym moro. Dżgane na wylot, cal po calu siano zebrane w stos. Badane wykrywaczem metalu krzaki. Otwierane majzlem drzwi scianii kryją kolejną tetetkę. Metodycznie. krok za krokiem zbliża się kolejny wczesny i długi ranek.

Kosowo, jak nasz zminiaturyzowany świat. Bez dostępu do morza, za to z górami, chmurami, jeziorami i dolinami. Malowniczymi przełęczami i rwącymi potokami. Gdzie jednym językiem - angielskim - mówią ludzie o wszystkich możliwych odcieniach skóry, pochodzący z każdego możliwego zakątka globu. Gdzie ludzie wierzą w to samo, ale inaczej. Gdzie przeżywają radość, szczęście – ale też ból, rozpacz i cierpienie. Gdzie walczą ze sobą i się kochają. Gdzie śmieją się i płaczą. Gdzie podają dłoń i wbijają nóż. Gdzie rodzą się i umierają, a w każdym z nich jest to, co żyje w każdym z nas: i dobro, i zło; i miłość, i nienawiść; i radość życia, i smutek śmierci; i szarość, i blask.

Zamknięci na pokładzie arki, nad którym wiecznie krąży gołębicą. Miniatura świata jak cień tkwiąca w zamkniętych dłoniach, nie wiadomo, którego Boga.

## Impresja V

Bośnia. Smutno i deszczowo. Drzewa powoli ubierają jesienne liście. Gęsto rozsypane wapienne skały pasą się na łące, jak poszarzałe baranki. Wyskubują żdźbła lichej trawy pomiędzy krzaków jałowca i kolczastych krzewów, z karminowymi kuleczkami owoców. Na szmaragdowej wodzie zakola rzeki, ręka olbrzyma ustawiła bezludną wysepkę jesiennej barwy. Tkwi w niej, jak przypadkowo wrzucony do kałuży kamień. Wyżej samotne, zagubione między pagórkami ruiny domów szukają schronienia w resztkach sadów. Straszą martwymi oknami. Kilkugrobowe cmentarze ostatniej wojny przytulają się do przedmieść, lasów i poboczy dróg.

Domy. Ściany poranione pociskami. Ślady jak po bakaliach wydlubanych z zakalcowatego ciasta. Zadrapania przysłania gdzieniegdzie gipsowy opatrunek. Na piętrach pozbawionych okien i drzwi rozciągnięte sznury pełne wilgotnego prania. Na parterze zielona pałatka udająca szybę, zaznacza, że dom żyje. W innym, białe brody rogatych kóz wychylają się pomiędzy zielonych krzewów, powojennych lokatorów zburzonych domów. Kryją się przed deszczem.

Granica państwa. Kontener strażnicy. Celnik zaprasza na kawę do przydrożnej kafejki. A potem ziemia niczyja. Bezludna. Droga ginie za zakrętem i pojawia się ponownie za kolejnym. Jakby błędziła, pokonując z wysiłkiem kolejne wzniesienie. Wyżej. Jeszcze wyżej.

Czarnogóra. Potężne iglaki pokrywają wysokie góry. Nad drogą zwisają skały, jak zwielokrotnione okazy minerałów, z dającymi się odróżnić tkwiącymi w gronach pojedynczymi kamieniami. Jak fragmentami bryły wielkiej soli. Kamienna ściana otulona ledwo widoczną pajęczyną siatki. Ukryte w krzakach ciemne oko tunelu prowadzi z litej skały wprost do strumienia. Strzeliste świerki oddalonej przełęczy, unoszą gałęzie jak w tańcu. Zastygły, jak spódnice gigantycznych baletnic. Przydrożne drzewa założyły ciężkie peleryny dzikiego wina i bluszczu. Dorodne kapelusze grzybów brązowią się na skraju lasu. Spadzista ścieżka nieśmiało zaprasza do jego wnętrza. Za kolejnym zakrętem drogi zniemacka pojawia się biała, samotna świątynia. Odbija się od ciemnozielonej, prawie czarnej ściany lasu, przykrytej mgłą, jak strzępami cukrowej waty. Kamienne mury starannie oddzielają sąsiednie pastwiska. I konie, pasące się w lepkiej mżawce.

Zapada mrok w długich, żłobionych we mgle tunelach. Reflektory po omacku szukają mokrego asfaltu bałkańskich dróg. Już bezpiecznie, prowadzącą do zwykłego, spokojnego, zapelnionego codziennością życia.

## Impresja VI

Strbce. Zaciszny zakątek Kosowa. Czas zamarł jak posypany szaczarowanym proszkiem przeszłości. Dolina leniwie tętni życiem. Samochody ze wspomnieniem tłumika, zatrzymują się przy każdym napotkanym znajomym. Mijają łaciate, opancerzone pojazdy i te, zaprzężone w rogate krowy. Przydrożne kafejki wabią grzaną rakiją i chłodnym piwem. Budki pełne drobiazgow, zachęcają drewnianym, zanurzonym w bursztynowym trunku krzyżem. Ręcznie malowane twarze świętych na szklanych butelkach, zdają się uświęcać ich zawartość. Niedzielnie ubrani ludzie, obciążeni słodkim brzemieniem ciast i tortów, dołączają do grupki weselników. Echo radosnych śpiewów odbija się od jeszcze zielonych wzniesień. Od górskiego grzbietu przypominającego skórę ropuchy. Od pachnących owoców jałowca. Od wapiennych skał.

Słońce. Ostre, ślizga się po złotych liściach jesiennych drzew. Przebija przejrzyste powietrze. Delikatnie łaskocze miedziane kępy traw. Barwy jesieni pełne ciepła, otuliły drogę wspinającą się wśród wysokich gór. Coraz wyżej. Wąskie kaskady lekko spienionej górskiej wody pluskają się po krągłych kamieniach strumieni. Kopuły cerkwi rysują się miękko na tle jasnego nieba. O bliskiej przeszłości przypominają spalone dachy letniskowych domów. Sterczą czarniawe kominy, okopcone dymem. Im wyżej, tym ściana koloru staje się coraz bardziej zielona. Opadające liście przegrywają z zahartowanymi zimnem szpilkami drzew.

Psy. Szarobeżowe, kudłate, kaprawymi oczami bez entuzjizmu spoglądają na intruzów. Puste ścieżki prowadzą szlakiem narciarskich wyciągów. Pozornie nieruchome krzeselka kolejek lekko drżą na wietrze. Sople i okrucy lodu wesoło mrugają spomiędzy kamieni. Lekko zamglone górskie pasma falują jak spokojne, granatowe morze. Sięgają nieskazitelnie niebieskiego nieba na horyzoncie.

Ścieżka. Prowadzi przez stromą lawinę rzuconych kamieni. Między granitowymi głazami, unoszą się wysepki przesiąkniętego wilgocią mchu. Niewidoczny potok bulgocze pod nimi jak wrząca woda. Wypływa zamrożoną strugą w ocienioną kotlinę. Zardzewiałe wagoniki kolejki kryją puste, plastikowe butelki po spragnionych i kawałki szkła.

Domy. Czerwień dachówki i biel ścian chronią wznoszące się dokoła górskie szczyty. Zostały daleko. Gdzieś tam, w dole. Zagubione, ale bezpieczne. Z poszarzałymi kopami siana na polach. Z kozami wyskubującymi żdźbła z żywopłotu. Z kwiczeniem warchlaka, bezdusznie wleczonego na powrozie oplatającym nogę. Z polanami wrzucanymi beładnie na wóz. Pulsują życiem, które zastęgło.

## Impresja VII

Ostatnie dni. Pełne płatków śniegu migoczących w świetle latarni. Przyprószyły wszystko: pobocza pełne śmieci; stojący przy drodze auto-pjese, z wrakami samochodów i górami opon; ledwie wzniesione mury domów z czerwonej cegły; nieśmiały dym z komina; cmentarze z białymi nagrobkami, które odróżnić teraz można od morza białości, po czerwonych flagach z dwugłowym orłem. Strzeliste wieże meczetów, jak gigantyczne pociski, zlewają się z równie białym tłem. Stojące obok kopki i brogi siana, założyły białe czapy. Niebo równie mglisto-białe, ponure i smutne. Jak szklana kula, w której gdy potrząsniesz, zakwita biały śnieg. Opada i spowija wszystko lekką mgiełką zapomnienia.

Droga. Część dziur gdzieś zniknęła, wyrównana stolnicą asfaltu. Wyrosły zagajniki zabudowań. Przytłoczyły swoją ilością spalone dachy domów. Mimo prószonego śniegu, ręce robotnika chwytają kolejną deskę wciąganą na wznoszone właśnie piętro.

Lotnisko. Nożyczki do paznokci wędrują do kosza na śmieci. Wprawne dłonie dokładnie przetrząsają bagaż. Bramka piszcząc reaguje na klamry pasków. Oczekiwanie na samolot. Ostatnia kawa z mlekiem. Nad głową obrazy bożonarodzeniowych teledysków. Merry Christmas! Biała i wietrzna płyta lotniska nie zachęca do pozostania na dłużej. Przez okrągłe szyby widać jeszcze znajome budynki. Szybko znikają pochłonięte mroźnym powietrzem.

Wszystkie obrazy powoli odchodzą w przeszłość. Wkrótce będą już tylko zamazanymi wspomnieniami. I tymi dobrymi i tymi złymi. Jak kolejna cegła w murze życia, pozostaną na zawsze. Coraz bledsze...

□ Sylwia PUCHALIK